



Andrzej Śarwa

Gałązka

rajskiej jabłoni

Baśnie polskie

Gałązka rajskej jabłoni

Andrzej Sarwa

Gałązka rajskiej jabłoni

baśnie polskie

Armoryka
Sandomierz 2010

Tekst: Andrzej Sarwa

Redaktor: Władysław Kot

Projekt okładki: Juliusz Susak

Tytuł na okładce złożono czcionką **Œranconian.ttf**,
której autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium, www.fontcraft.com

Ilustracja na okładce: Martin Johnson Heade (1819–1904), *Hummingbird And Apple Blossoms*,
(licencja: public domain), źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Heade_Martin_Johnson_Hummingbird_And_Apple_Blossoms.jpg

Copyright © 2010 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA

ul. Krucza 16

27–600 Sandomierz

tel 15 833 21 41

e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl

<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–62173–52–5

Grzeczność wynagrodzona

Chociaż Franciszek liczył już prawie czterdzieści lat, to przecie krzepki był niczym dąb. Postawny i urodziwy mężczyzna miał jeszcze i tę zaletę, iż był bogaty - najbogatszy we wsi.

Ziemi posiadał dużo, i to urodzajnej. Ponadto krowy, konie, świnie, a drobiu bez liku. Mięso często gościło na jego stole, a jaj i omasty nigdy sobie nie żałował.

Nie dziwny się zatem, że kiedy przedwcześnie zmarła jego żona, to chociaż jeszcze na jej mogile nie wyrosła trawa, już swatowie i swatki jęli pukać do drzwi naszego wdowca.

Mimo iż najpierw nie był skory do ponownego ożenku, to przecież owo ustawiczne nachodzenie go, namawianie, a przekonywanie w końcu dały rezultat.

Tym razem długo się zastanawiał, kogoż to poślubić. Wreszcie, po namyśle, jego wybór padł na trzydziestoletnią wdowę, znaną z zaradności i gospodarności, i chociaż ubogą, to mającą tę zaletę, iż była niezwykle urodziwa.

Skoro zatem przeminął roczny, obowiązkowy okres żałoby. Franciszek poprowadził swoją wybrankę do ołtarza.

A potem było huczne weselisko. Na tę okazję zabito krowę i dwa świniaکی, że o kurach, gęsiach, indykach i kaczkach nie wspomnę.

Ucztowała i tańczyła cała wieś i to nie przez jeden dzień tylko. Wesoło było, oj wesoło, bo i gorzałki nie brakowało, a skoro jej nie brakowało, toteż nikt jej sobie nie skąpił.

Marianna - tak było na imię nowej żonie Franciszka - zaraz po ślubie sprzedała swoją starą chałupę i wprowadziła się pod dach męża.

* * *

Teraz nadeszła pora, by powiedzieć, że zarówno Franciszek, jak i Marianna mieli każde po jednej córce. Franciszkowa zwała się Kasia, Marianny natomiast Różia.

Być może, iż dziewczynkom udałoby się ze sobą zaprzyjaźnić, ba! stać prawdziwymi siostrami nawet, gdyby nie Marianna, która od pierwszej chwili znienawidziła swoją pasierbicę.

Ileż to zła i krzywdy wyrządziła owemu dziecku, które z natury dobre było, ciche i spokojne, nikomu nie wadzące i nadzwyczaj posłuszne.

Swoją Rózię stroiła ponad przepych, gdy tymczasem Kasia chodziła zaniedbana i obdarta, niczym córka żebraka.

Swojej Rózi podtykała co najlepsze kąski, podczas gdy Kasia ustawicznie była głodna, bowiem tyle tylko dostawała - najczęściej stary uschnięty chleb i resztki zupy z obiadu - aby nie umarła z głodu.

Różia sypiała na wielkiej puchowej poduszce, przykrywając się wielką puchową pierzyną, podczas gdy Kasia kładła pod głowę starą zwiniętą szmatę, a okrywała się lada jakim łachmanem.

Franciszek, który niegdyś przecież kochał swoją córkę, teraz jakoś zubożał na jej los. I chociaż widział jak źle i okrutnie obchodzi się z nią Marianna, nie reagował na owo zupełnie.

Czasem tylko, bardzo sporadycznie, zdejmował ze swego talerza jakiś lepszy kąsek i podawał go Kasi. A ta przyjmowała go z wdzięcznością, ciesząc się z ojcowskiej „dobroci”.

Jak więc widzicie, dziewczynka byłaby całkowicie osamotniona gdyby nie wielki czarny, upstrzony białymi łatkami na grzbiecie i ozdobiony białym krawatem na szyi, kot Mruczek.

Zwierzak nie odstępował Kasi ani na krok, tulił się do niej, ocierał o nogi, a kiedy zapadała noc, wchodził na jej barłóg, wsuwał się pod wystrzępione okrycie i śpiąc ze swoją panią rozgrzewał ją ciepłem swego miękkiego futerka.

Skoro macocha spostrzegła, jak wielka jest przyjaźń między piasierbicą, a Mruczkiem, nie mogąc tego ścierpieć, precz przepędziła zwierzątko.

Na darmo kotek próbował, przez wiele kolejnych dni, przekroczyć próg domostwa. Ilekroć bowiem Marianna go spostrzegła, tylekroć dostawał tak straszne ciągi, iż nieraz z zakrwawionym pyszczkiem musiał ratować się ucieczką.

Nie dziwny się przeto Mruczkowi, że mimo miłości, jaką darczył swoją młodziutką panią, wyprowadził się z chałupy na dobre, zapuszczając się tylko od czasu do czasu do obory. Miłe mu bowiem było zdrowie, a może nawet i życie.

Macocha widząc, że udało się jej pozbawić Kasię jedyne go przyjaciela, ucieszyła się ogromnie. Ta radość trwała przez kilka dni, do chwili gdy zaczęła przemyślać nad jakąś nową podłością, jakąś nową udręką i złem, które mogłaby wyrządzić dziewczynce.

Myślała i myślała długo, lecz jakoś nic oryginalnego nie przychodziło jej do głowy.

Łaziła tedy po chałupie zła i ponura, ciskając garnkami i trzaskając drzwiami, zaniedbawszy zupełnie zajmowanie się obowiązkami gospodyni.

Franciszek, który - jak wiecie - całkowicie dostał się pod pantofel nowej żony, nie reagował na to zupełnie. Ba! Ustępował jej z drogi, mówił nieomal szeptem i bez szemrania spełniał każdy rozkaz, każdą zachciankę Marianny.

Nie sprzeciwiał się i temu żądaniu, aby jego Kasia raz na zawsze wyniosła się z izby i zamieszkała w oborze wraz z krowami.

Posłusznie zebrał jej lichy przyodziewek, który zawiesił na gwoździu wbitym w ścianę, a poniżej, na ziemi, wymościł jej po-

słanie ze słomy, którą cichaczem - aby Marianna tego nie zobaczyła - przyniósł ze stodoły.

Pierwszą noc, spędzoną poza izbą, wśród zwierząt, dziewczynka przeplakała. Mimo okrutnego zmęczenia, jej żal był tak wielki i tak wielki smutek, że nie udało się jej ani na moment zmrużyć oka.

Jedyną pociechę stanowiło to, iż nad ranem, gdy świt jał różowić niebo, przez niewielkie niedomknięte okienko wślizgnął się jej przyjaciel - kot Mruczek.

Pochwyciła go na ręce, przytuliła czule do piersi i obsypała pocałunkami. A on ocierał się pyszczkiem o jej policzek i głośno mruczał, wyraźnie uszczęśliwiony ze spotkania, na które obydwójce tak długo czekali.

* * *

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Z drzew poopadały ostatnie liście, nocne przymrozki ścinały kruchymi tafelkami lodu kałuże, które się porozsiały na środku gościńca. Puste o tej porze roku pola, rozciągały się het, po horyzont.

Słońce rzadko teraz gościło na niebie, za to chmury i deszcz były niemal codziennym zjawiskiem.

Kto nie miał na to czasu w lecie, teraz zamasyście wywijając siekierą rąbał drwa, a potem układał je popod ścianami stodoły, czy szopy, kędy piętrzyły się wysoko, oczekując swojej kolejki na spalenie.

Tego dnia do południa siąpił drobny deszczyk, gruntownie nasączając gliniastą powierzchnię dróżki wiodącej od chaty Franciszka ku gościńcowi, przemieniając ją w grząskie i lepkie błoto. W południe deszcz ustał, ale za to z nisko zawieszonych nad ziemią białawych chmur jał prosić drobnutki niczym kasza jagłana śnieg.

Kasia na polecenie macochy pracowicie przebierała groch, z utęsknieniem wyczekując obiadowej pory, kiedy to będzie mogła

się posilić swoją skibką chleba i resztkami zupy. A być może czymś więcej, jeśli macosze akurat dopisze humor.

Ale do obiadu było daleko, tymczasem głód tak ścisnął jej wnętrzności, iż momentami słabła, a przed oczyma wirowały jej czarne plamy.

Spróbowała żuć surowe ziarno grochu, przez co stępiła nieco ssanie w żołądku, chociaż bynajmniej nie zaspokoila łaknienia.

Mruczek, jakby rozumiejąc niedolę dziewczynki, cicho się wślizgnął do szopy, w której pracowała i złożył u jej stóp, niesioną w pyszczku, tłustą, szarą mysz.

Kasia pogłaskała go czule:

- Oj, kotku, kotku. Mój ty kochany. Lepsze masz serce od ludzi. Dzielić się chcesz ze mną swoją zdobyczą, ale ja myszy nie jadam. Zjedz sam i niech ci idzie na zdrowie.

Mruczek zatem, odczekawszy dłuższą chwilę, by się do końca upewnić, czy aby Kasia nie zmieni zdania, z widowym łakomstwem sam pożył to, co przyniósł z pola, a może z lasu.

Dzień powoli się kurczył, niebo stawało się coraz ciemniejsze, a powietrze szare. Z dworu do obory, w której Kasia szykowała się do snu, dobiegał jednostajny szum i plusk ulewy.

Mruczek przysiadł na legowisku ze słomy okrytej starym łachmanem i pracowicie wylizywał futerko swoim różowym, ostrym języczkiem.

Kasia wiedziała, że kładąc się teraz, o tak wczesnej porze, jeszcze przed dojeniem krów, które stały nieopodal pracowicie przeżuwając siano, narazi się na gniew macochy.

Lecz nie zważała na to. Czuła się bardzo chora. Czoło miała rozpalone, gardło bolało ją tak, iż z trudem tylko przełykała ślinę, a prócz tego - co i raz - wstrząsały nią dreszcze.

Zwinęła się tedy w kłębek na wygniecionym barłogu, najszczelniej jak tylko mogła okrywając się kapotą, pod którą natychmiast wślizgnął się Mruczek, rozgrzewając ją swoim gibkim ciałkiem.

Nie wiedzieć kiedy ją zapadać w bezdenną czeluść snu, lecz nie dane było jej odpocząć. Ostry, nieprzyjemny głos macochy otrzeźwił ją w kilka sekund:

- Ech, ty próżniaku! A nie wylegaj się po próznicy! Nie masz co robić?! To ja ci zaraz wynajdę zajęcie!

Kasia usiadła na posłaniu, przecierając oczy.

- Co mi każecie? - zapytała pokornie.

- Zbieraj mi się na nogi i idź pożyczyć skądś ognia, bo nie podsyć sycany zagasł w palenisku, a nie mam czym rozniecić nowego. No! Idź już! przecież wiesz, że muszę się zabierać do gotowania wieczery!

Otuliła się Kasia swoją, podszytą wiatrem, kapotką, najszczelniej jak umiała. Wzięła z podwórza stary dziurawy garnek żelazny, aby doń nagarnąć, w którejś z pobliskich chałup, żaru i ruszyła w stronę wsi.

Nie uszła jednak daleko, gdy stado psów z ujadaniem, warczeniem i szczerzeniem kłów rzuciło się w jej kierunku. Przestraszona cisnęła w nich garnkiem, a widząc iż to nie pomogło, wzięła nogi za pas i poczęła uciekać w przeciwnym kierunku.

Lęk dodał jej sił i prędkości, tak iż wkrótce wiejskie zabudowania zostały daleko z tyłu, a ona sama znalazła się w głębi lasu. Psy na szczęście nie uwzięły się na nią i zawróciły.

Kasię otaczały teraz wysmukłe pnie sosen. Pod nogami ugięła się miękka ściółka złożona z opadłego igliwia i złuszczonej kory. Pachniało żywicą i zbutwiałym drewnem.

Jeśli poza lasem się zmierzchało, to w jego wnętrzu od dawna już panowała noc.

Dziewczynkę ogarnęło przerażenie. Oparła się o sosnę i jąła się zastanawiać, co ma począć w tej - niemiłej - sytuacji. Zawracać ku wsi, drogą, którą tu przybyła, bała się ze względu na psy, które gdzieś tam, niedaleko, biegały w rozjuszonym stadzie. Las ją przerażał i chociaż znała skrót, którym mogłaby powrócić do rodzinnej chaty, lękała się, iż w zupełnych ciemnościach może pobiłdzieć.

Stała dłuższą chwilę, popłakując przy tym z cicha, bo nie wiedziała co począć. Strach przed psami jednak zwyciężył i prawie po omacku poczęła wędrować przez las, w kierunku, który wydawał się jej właściwy.

Uszła tak spory szmat drogi, boleśnie się przy tym raniąc o gałęzie krzewów, które zastępowały jej drogę, bądź objając ciało o niewidoczne w mroku pnie drzew, lecz nie umiała wyjść z boru.

Miał wędrować ku domowi, najwyraźniej zagłębiała się w las. Zmęczenie i gorączka mocno się jej dały we znaki. Ciężko dysząc przykucnęła, aby choć trochę odpocząć.

I wówczas, gdzieś niezbyt daleko, pomiędzy drzewami, zamigotało żółtawe światło.

Podniosła się czym prędzej na nogi i podniecona nadzieją ratunku, ruszyła w jego stronę.

Ledwo zrobiła kilkadziesiąt kroków, gdy oto zarysowała się przed nią ciemna bryła domu z wielkim oknem rozświetlonym pożłocistym blaskiem.

Dziewczynka jąła obchodzić budynek dookoła, aż natknęła się na drzwi wejściowe. Zawahała się przez moment, ale perspektywa spędzenia ciemnej, zimnej, listopadowej nocy samotnie w głębi lasu, ostatecznie przełamała jej niezdecydowanie. Zapukała zatem we framugę, czekając aż jej otworzą.

Drzwi rozwarły się ze skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów i za progiem ujrzała dostatnio przyodżianego mężczyznę, który uśmiechnął się do niej, jednocześnie gestem zapraszając ją do wnętrza.

Minęli sieni i weszli do głównej izby - a właściwie komnaty. Tutaj dziewczynce aż dech zaparło z wrażenia. Ujrzała bowiem oto przestronny pokój, którego ściany obwieszzone były cennymi tkaninami, zaś podłogę zaścielał puszysty perski dywan. Po środku izby stał wielki stół z jakiegoś cennego drewna wypolerowany do połysku, a inkrustowany srebrem i macicą perłową w fantazyjne roślinne wzory.

Na wyściełanych aksamitem krzesłach siedzieli nadzwyczaj bogato odziani panowie, z których każdy, kiwając przyjaźnie głową przedstawił się Kasi:

- Ja jestem Słońcem.

- A ja Księżycem.

- Ja Wiatrem.

- A ja Mrozem.

- Ja natomiast Deszczem.

- Czego sobie życzysz od nas dziewczynko? - zapytali na końcu chórem.

Kasia patrzyła na nich szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, nie mogąc wykrztusić słowa. W końcu jednak przemogła się i rzekła:

- O dwie rzeczy was proszę. Dajcie mi nieco ognia, abym go mogła zanieść do domu. Jeśli tego zaraz nie zrobię, macocha zbije mnie okrutnie i nie da kolacji.

- I czego jeszcze byś chciała? - zapytał Wiatr.

- Byście mnie, panowie, wywiedli z tego lasu i zaprowadzili do domu, bom pobłądziła.

- Nic za darmo! Nic za darmo, miłe dziecko - powiedziało Słońce.

- Ależ ja niczego nie posiadam! Tylko te łachmany, co je mam na sobie - wyjąkała Kasia.

- Toteż my nie o takiej zapłacie mówimy! - zaśmiał się Deszcz.

- A o jakiejż to?

- Po prostu - odezwał się Mróz - przyjrzyj się nam wszystkim na raz i każdemu z osobna, a potem orzeknij, kto z nas, tu obecnych, jest najpiękniejszy.

Spełniła Kasia ową prośbę i długo, a dokładnie przyglądała się każdemu, lecz im dłużej patrzyła, tym trudniej było się jej zdecydować na dokonanie jakiegoś konkretnego wyboru.

- Wszyscyście jednak piękni - wypowiedziała na koniec nieśmiało.

- Może jednak ktoś z nas jest piękniejszy nad innych? - zapytał Deszcz.

- Nie! Nie! - Kasia zdecydowanie pokręciła głową. - Naprawdę wszyscyście jednak piękni!

- I nie odmienisz zdania? - upewnił się Księżyc.

- Nie, na pewno nie.

- Pójdź zatem za mną - rzekło Słońce - i poprowadziło dziewczynkę do kuchennej izby, gdzie w piecu, pośród siwego popiołu, niczym drogocenne klejnoty błyszczał żar.

- Nagarnij gorejących ogni w co tylko możesz - mówiło dalej Słońce. - I w zapaskę i za pazuchę i w chustkę. Poutykaj go też po kieszeniach.

- A nie zapalę się od tego? - zaniepokoiła się Kasia.

- Możesz mi wierzyć, że nie. Już nasze moce cię ustrzegą.

Później zaś Słońce pociągnęło dziewczynkę za rękę i powiodło ku wyjściu.

Choć na dworze od dawna panowała noc, teraz nagle pojaśniało, tak że bez trudu odnalazła powrotną drogę.

Słońce natomiast na odchodne powiedziało jej te słowa:

- Słuchaj Kasiu. Skoro tylko przybędziesz do chałupy, małą garstką żaru, jaki otrzymałaś od nas, roznieć ogień w kuchennym piecu. Resztę zasię zakop w ogrodzie i czekaj do rana. Gdy tylko pierwsze zorze rozwidnią widnokrąg, idź i odgrzeb to, coś zakopała, a zobaczysz jakąż to niespodziankę ci zgotowaliśmy.

- Wy, to znaczy kto?

- No jakże? Nie wiesz? Ja, Księżyc, Wiatr, Mróz i Deszcz.

Źle Kasia spała tej nocy. Dziwne i niesamowite spotkanie zaprzętało jej umysł. To też przewracała się z boku na bok, aż rozbołały ją wszystkie kości.

Gdy pierwszy świt zaróżowił niebo, dziewczynka nie zwlekając wstała i pobiegła do ogrodu. Tu, drżącymi z przejęcia dłońmi, rozgarnęła miękką ziemię, w której ukryła otrzymany poprzedniego wieczora żar.

Prawdę mówiąc spodziewała się ujrzeć kopczyk poczerniałych i wypalonych węgli. Lecz co to? Oto spostrzegła pozłocisty błysk. A potem drugi, trzeci, dziesiąty... W wygrzebanym dołku piętrzyła się przed nią góra złotych monet. Nowiutkich i lśniących, bo w nie to właśnie przemieniły się płonące węgle.

- A cóż ty tam masz? - ostry, nieprzyjemny głos macochy doleciał skądś z tyłu do uszu dziewczynki.

Przestraszona porwała się na równe nogi.

Kasia nie umiała kłamać, więc przymuszona opowiedziała o wszystkim, w jaki sposób stała się właścicielką tak wielkiego skarbu.

- Ha, cóż. Twoje szczęście. Chociaż na pewno nań sobie nie zaśmuchałaś - macocha skrzywiła się mocno, jakby się octu napiła.

- Ale jeśli taki kocmołuch i brudas mógł dostać tyle złota, to o ile więcej otrzymać może mój aniołek, moja córeczka, moja Różia? Dzisiejszego wieczora wskażesz jej drogę do owej chaty w lesie. A nie próbuj oszukiwać, bo by się to źle dla ciebie skończyło.

- Dobrze. - Kasia potulnie kiwnęła głową.

Skoro zapadła noc Różia podprowadzona pod same drzwi leśnego domu, ostro w nie załomotała, a po chwili stała już przed siedzącymi za pięknym stołem Słońcem, Księżycem, Wiatrem, Mrozem i Deszczem.

- Po cóż tu przyszedłaś, dziewczynko? - zagadnął Wiatr.

- Byście mi dali nieco ognia, panowie.

- Nic za darmo! Nic za darmo! Najpierw nam powiedz, który z nas najładniejszy - Księżyc uśmiechnął się do Rózi szeroko. Tak szeroko, jak tylko Księżyc to potrafi.

Tymczasem ona, dokładnie przyjrzawszy się każdemu z osobna pogardliwie odeła wargi:

- Fi! Wszyscyście brzydcy! Słońce, bo oślepia i pali. Księżyc, bo błady niczym suchotnik. Wiatr bo dokuczliwy. Mróz, bo ostry. Ale Deszcz z was najgorszy, bo na nikim suchej nitki nie zostawi.

- Czy nie zmienisz zdania, dziewczynko? - zapytało grzecznie Słońce.

- Pewno, że nie!!! Wszyscyście brzydcy i wszyscy dokuczni! A teraz dawajcie ogień!

- Nagarnij go sobie z paleniska, ile tylko zdołasz unieść - odpowiedział Mróz.

* * *

Różia spała dobrze i głęboko. Za to jej matka nie mogła zmruczyć oka, taka była ciekawa, ileż to złota zdobyła jej ukochana córeczka. Gdy zatem dzień zaświtał, obudziła ją potrząsając energicznie za ramię, a później pędem udały się do ogrodu i dalejże odgarniać ziemię, którą w nocy przysypały przyniesiony żar. Lecz pracowały na próżno. Między grudkami żółtawej gliny nic nie zabłysło i nic nie zaśniło. Kupa czarnych, wygasłych węgli spoczywała na dnie wykopanego dołka. I nic oprócz niej.

Jeszcze nie dowierzały. Jeszcze owe węgle przetrząsały, z nadzieją, iż znajdą między nimi choćby jedną, jedną złotą monetę. Niestety...

Usmołone po łokcie, ze smętnie powieszanymi głowami, wlokąc się noga za nogą, wracały do domu.

- Róziu, córeczko...

- A co, mamó?

- Odbierzemy złoto Kasi. Na co temu kocmołuchowi takowy skarb?

- Pewnie, że odbierzemy.

Lecz na próżno macocha szukała swojej pasierbicy. Kasia przeczuwając bowiem, co ją może spotkać, spakowała swoje cudownie zdobyte pieniądze w węzełek i ruszyła w świat, szukać szczęścia.

Ja tak dokładnie nie wiem co było dalej, ale powiadają ludziska, że zawędrowała do pięknego, ludnego miasta, gdzie kupiła sobie wygodny dom i wyszła za mąż za najprawdziwszego hrabiego, z którym długie lata żyła w szczęściu i dostatku.

A kiedy ojciec na starość po raz drugi owdowiał i został się sam na świecie jak palec, Kasia przyjęła go pod swój dach, i pielęgnowała czule, nie chcąc pamiętać o tym, iż niegdyś nie bronił jej i nie ochraniał przed krzywdami, jakie jej wyrządzała macocha.

Opowieść o czarodziejskiej lasce

Dawno, dawno temu, w pewnej wsi leżącej nad brzegiem wąskiej lecz głębokiej rzeki, stał młyn, a obok młyna obszerny i wygodny dom, który zamieszkiwał młynarz wraz z żoną i córką jedy-naczką.

Trochę dalej, za zakrętem rzeki, znajdowała się wieś. Ot, taka zwyczajna wieś. Wzdłuż wyboistej drogi - po obydwu jej stronach - stały chałupy niskie, jakby wpół zapadłe w ziemię. Jedne zbite z grubo ciosanych bierwion sosnowych, inne zlepięne z kamienia, ale wszystkie o jednakowo koślawych kominach, słomianych strzechach i wszystkie wybielone wapnem.

Przed chałupami, w miniaturowych ogródkach, rosły wysokie mały o różnobarwnym kwieciu, żółte i pomarańczowe nagietki i nasturcje, białe lilie, kamienne goździki i nieco ziół: boże drzewko, melisa, maruna i mięta.

Z tyłu za chałupami były podwórza a w ich głębi drewniane, również strzechą kryte stodoły, chlewy, kurniki i stajnie. W niektórych obejściach kilka śliw, wiśni, krzywa jabłoń i grusza udawały sad.

Sennie płynęło życie i we wsi, i w młynie, życie któremu rytym wyznaczały pory roku i nic ponadto.

Rano obrządzano zwierzęta, dojono krowy, potem po skromnym śniadaniu wyruszano w pole, w południe posilano się obiadem, pod wieczór obrządzano zwierzęta, znów dojono krowy...

Później pyzaty księżyc wypływał na ciemny granat nocnego firmamentu, wszystko ogarniała cisza i jedynie tylko psy poszczekiwały aż do rana, a gibkie koty wyruszały na łowy wśród pól.

Skoro niebo poczynąło szarzeć, koguty donośnym głosem budziły ludzi i zaczynał się nowy dzień.

Właśnie jednego takiego ranka pewien gospodarz, dość zamożny gospodarz, wysłał do młyna swojego parobka, który oprócz własnych rąk do pracy i połatanej kapoty na grzbiecie, nie posiadał niczego.

- Załaduj kilka worków zboża na furę, a rzeknij młynarzowi, aby się pośpieszył z robotą, bo mało co mąki zostało nam w domu.

Spełnił chłopak polecenie i prędko wyjechał z podwórza na drogę. Drewniane, okute żelaznymi obręczami koła, zaturkotały na wybojach, a po chwili wóz skrył się za zakrętem.

Zajechawszy przed młyn, ściągnął lejce, przywiązał je do koślawych sztachet płotu i począł przenosić worki z fury do młyna.

Skoro już skończył ową robotę i rzekł młynarzowi co miał rzec, idąc do wozu omal nie zderzył się na podwórze z piękną, dostatnio ubraną dziewczyną.

Była niezbyt wysoka, ale nadzwyczaj kształtna. Miała długie warkocze, z których jeden opadał jej na pierś, drugi zaś na plecy. Oczy zaś błękitne niczym czyste niebo w sierpniowy dzień, pąsowe, ślicznie wykrojone usta, łagodnie zarysowany podbródek i długie rzęsy kładące cienie na policzkach sprawiały, iż niejeden chłopak we wsi wzdychał ku młynarzowej córce.

Ona jednak jakoś do tej pory na żadnego z zalotników nie zwracała uwagi bardziej jeszcze czując się małą dziewczynką, niż dorosłą panną.

Lecz musiał przecie nadejść ów dzień, kiedy serce winno jej zabić żywiej na widok chłopaka. I dzień ten nadszedł akurat wówczas, gdy nasz biedny parobek przywiózł zboże swego gospodarza do zmielenia.

Na widok parobka młynarzówna poczuła dziwny ucisk w piersi i jakąś niedookreśloną tęsknotę. W jednej chwili zrozumiała, że nie żyć jej bez niego, że on i tylko on i, że żaden inny nie może ją poślubić.

Ale nie dała tego poznać po sobie i czym prędzej pobiegła do domu. Za to chłopak stał jak skamieniały, długo jeszcze wpatrując się w drzwi wejściowe młynarzowej sadyby, w których znikła dziewczyna.

Od owej chwili żadne z młodych nie zaznało już spokoju. Choć serca stęsknione rwały ku sobie: on - nędzarz, ona - córka bogacza, mieli świadomość, iż nie dane im będzie wspólnie spędzić życie.

Ale dziewczyna nie wytrzymała męki i któregoś dnia rzekła rodzicom:

- Nie ma dla mnie życia bez Jaśka! Jeśli mnie za niego nie wydadzie z dobrej woli, to i tak wezmę go sobie za męża choćby i bez waszego błogosławieństwa.

Próżno rodzice tłumaczyli, próżno przekonywali dziewczynę. Próżno prosili, ba! błagali nawet. Nie chciała słuchać ich próśb i wciąż powtarzała:

- Nie masz dla mnie życia bez Jaśka!

Cóż tedy młynarz miał uczynić? Nie pozostało mu nic innego, jak tylko być uległym wobec woli córki jedynaczki.

Któregoś niedzielного popołudnia poprosił zatem parobka do siebie i przechadzając się z nim brzegiem rzeczki, wyłuszczył mu rzecz całą.

- Tylko niech ci się aby w głowie nie przewróci, Jaśku - ozwał się na koniec.

- Gdybym się nie obawiał, iż mi się dziewucha od owej ochoty do żeniaczki z tobą rozchoruje, anibyś słuchać nie chciał o takim zięciu! Dla mnie zawsze będziesz parobkiem i niczym ponadto!

Upadł Jasek na kolana przed młynarzem i całując po rękach zawołał:

- Dzięki wam, dzięki stokrotne! Jeśli będę miał waszą Kasię za żonę, niczego mi nie będzie trzeba więcej! Możecie mnie traktować jak najgorzej, a ja i tak będę szczęśliwy!

- Żeby to prawda była - mruknął młynarz pod nosem i wyjąwszy kilka monet z kieszeni, wręczył je parobkowi ze słowami:

- Idź, daj na zapowiedzi, boć przecie nie wypada, abym ja to czynił, albo moja córka.

W miarę upływu czasu, w miarę jak nieubłagane zbliżał się termin ślubu jego Kasi z ubogim parobkiem, humor młynarza ciągle się pogarszał, zaś młynarzowa chodziła z ustawicznie podpuchniętymi od płaczu oczami i przez łzy mówiła:

- Córkuś, moja córkuś, czy cię rozum opuścił, że chcesz iść za takiego dziada?

- Nie zaczynajcie, matko, od początku. Nie żyć mi bez Jaśka - odpowiadała dziewczyna. - Nie żyć mi bez niego, rozumiecie?

W pewien wieczór, gdy słońce skryło się na zachodzie, a zorze ubarwiły horyzont szkarłatem, żółcią i fioletem, do drzwi młynarszego domostwa ktoś zapukał gwałtownie.

Młynarzowa otwarłszy, zobaczyła stojącego na progu bogato odzianego szlachcica, który trzymając smoliścieczarnego ogiera za uzdę, uklonił się grzecznie i zapytał:

- A nie przenocowalibyście mnie, kobieto?

- Jaśnie panie - odparła na to baba. - Toć do dworu nie będzie dalej jak mila. Jedźcie tam. U nas, cóż, nie zaznacie wygod, ani nie skosztujecie jadła godnego waszego podniebienia.

- Pojechałbym, a jakże - ozwał się na to szlachcic ale koń mi okulał. A zresztą to na jedną noc tylko.

- Tedy wejdźcie, panie. Wielki to zaszczyt dla nas, gościć tak znamienitą osobę - rzekła młynarzowa i wprowadziła szlachcica do izby.

Posadziwszy go za stołem, jęła wraz z mężem nadszakiwać przybyłemu. Poczęstowała go kolacją na którą podała smaczną jajecznicę z kielbasą, biały chleb i kompot z wiśni.

Szlachcic posilał się w milczeniu, strzelając oczami na śliczną Kasię. A co jej zajrzał w oczy, to młaskał i aż się obliżywał.

Noc przeszła spokojnie. Za to gdy rankiem słonko rozpoczęło swą wędrówkę po firmamencie, a wróble poczęły się sprzeczać w gęstwinie olszy i wikliny porastającej brzeg rzeki, gość przyodziawszy się i zasiadłszy za stołem do śniadania, które mu akurat szykowała młynarzowa, w takie słowa ozwał się do niej:

- Co byście powiedzieli, gdybym się wam oświadczył o rękę Kasi? Prawdziwy to pączek różany, słodki a wonny. Nie jest mi równego stanu, ale co tam - pal licha. Pokochałem dziewczkę od pierwszego wejrzenia, a przecie to, i pieniądze najwięcej w małżeństwie się liczą.

I tak trajkotał babie za uszami, tak ją przekonywał, tak się zachwalał, że ona nie bacząc, iż szlachciura ojcem - jeśli nie dziadkiem - mógłby być jej córki, bez wahania zgodziła się na ów ożenek.

Co prawda młynarz, który akurat nadszedł, próbował się przeciwstawić temu, mając na względzie, iż Kasia kochała innego, oraz że mu przyrzekł już jej rękę, wszak i szlachcic i własna żona zalali go potokiem słów, a ostatecznie przekonała pękata sakiewka z koźlej skórki, cała wypełniona złotymi monetami.

- Nie przejmuj się byle dziadem! Dałeś mu słowo, phi! Wielka mi rzecz! Pomyśl, przy jaśnie panu Kasi ptasiego mleka nie zabraknie, a przy Jaśku? Będzie biedę klepać całe życie!

Młynarz nic nie mówił. Ważył sakiewkę w dłoni, zaglądał do środka, przebierał pieniądze palcami.

- Niech to złoto będzie zapłatą za zrękowiny. Tylko żeby odbyły się zaraz a gdy dopełnimy formalności, wezmę dziewczynę i na-